

## Zostać kardiochirurgiem. Pozostać kobietą

Izabela Szymanik

Oddział Kardiochirurgii, Szpital Wojewódzki nr 2, Rzeszów

Kardiochirurgia i Torakochirurgia Polska 2008; 5 (1): 88–89



### Kardiochirurgia i kobieta...

Oba te wyrazy są rodzaju żeńskiego, ale „kardiochirurg” i „kobieta” już nie. Niby też na tę samą literę, tylko płeć się nie zgadza... Czy to zbieg okoliczności, czy złośliwość języka polskiego, że nie mamy żeńskiego odpowiednika słowa „chirurg”? No i jeszcze do tego fakt, że żeńska końcówka słów „lekarz” czy „advokat” ma w sobie coś niepoważnego. Trzeba przyznać, że tak jak w polskim języku, tak i w polskim świecie medycznym „kobieta” i „kardiochirurg” to kłopotliwa para. Jakoś nie pasuje. A przecież i płeć piękna, i specjalizacja także. Więc dlaczego kobiety uprawiające ten zawód w naszym kraju możemy policzyć na palcach jednej ręki? Dlaczego w ogóle wśród młodych lekarzy specjalizacja ta nie cieszy się taką popularnością jak przed laty?

Jestem lekarzem. Kobieta-lekarzem. Kobieta-lekarzem kardiochirurgiem. Na razie młodym, w trakcie specjalizacji. Dopiero odkrywającym piękno i możliwości tego zawodu. Czuję, jak z dnia na dzień coraz bardziej mnie pasjonuje. Przecież ratuje się ludzkie serce, czasem wrażliwe na najdelikatniejszy dotyk. Tak jak my, kobiety. Więc dlaczego ten zawód uprawiają prawie wyłącznie mężczyźni? Chcę opowiedzieć krótko, dlaczego ja, kobieta, pokochałam kardiochirurgię.

*6:15 rano.* Budzik drze się niemiłosiernie. Pewnie wszyscy sąsiedzi zerwali się na równe nogi. Biedactwa. Szczególnie ten na górze. Dobrze mu tak, niech się nie zabawia wiertarką o 1:00 w nocy. Potem drugi budzik. Otwieram jedno oko. Za 5 minut trzeci. To telefon, i dobrze, bo znalazłby się na ścianie, gdyby był zwykłym zegarkiem. Kiedyś zresztą, będąc jeszcze w zbyt mocnych objęciach Morfeusza, tak właśnie potraktowałam słuchawkę telefoniczną. Na wszelki wypadek nastawiam wszystkie zegarki na 10 minut wcześniej, żeby znowu nie spóźnić się do pracy. Stary numer, ale nie zawsze się sprawdza. Nie lubię się spóźniać. Ale jeszcze bardziej nie lubię wstawać rano. Nie wiem, czy jest coś, czego bardziej nie lubię. Odwracam się do ściany i śpię dalej. Ostatni budzik za 5 siódma. Dopiero ten wyrывa mnie z łóżka. W biegu sączę kawę z mlekiem. Maluję rzęsy. Szybko. Cieni do oczu

nie nakładam. Szkoda, bo je lubię. Ale po co, skoro mam mieć potem to wszystko na moich lupkach, nie będę nic widzieć i zamiast ładnie odpalić mammarię, ładnie ją upalę? Przecież nie chcę zepsuć pacjentowi operacji.

*7:30 rano.* Wpadam do dyżurki. Rzut oka na zlewozmywak. Po liczbie naczyń od razu wiadomo, kto miał noc. Ha, ha. Podobnie jest z koszem na śmieci. Wiem też już prawie na pewno, że dyżur nie był spokojny. Kobięca intuicja. Mężczyźni myślą, kobiety czują. Tak się mówi. Być może tak jest. Ale w tym zawodzie nie można pozwolić sobie na niemyślenie. Przebieram się w mundurek przerobiony przez krawcową z rozmiaru XXL na XS i wkładam moje buciki numer 5. Moja kochana siostra przysłała je regularnie ze Stanów, bo w Polsce nie sposób znaleźć chodaczek w tym rozmiarze. Lecę na OIOM. Właśnie zaczyna się wizyta. Uff..., zdążyłam.

*Okolo 8:15 rano.* Wchodzę na salę operacyjną. Na stole leży pacjent. Już na pierwszy rzut oka widać, że waży ok. 100 kg. Ja 48. Nieźle proporcje na niezły początek dnia. Jest dobrze, mówię sobie, zawsze mogłoby być gorzej. Myję pacjenta, potem siebie, wkładam fartuch operacyjny, który siostra instrumentariuszka przycina u dołu, żebym się nie przewróciła, przysuwam sobie mój ukochany podnóżek, bez którego nie funkcjonuję przy stole i ubieram rękawiczki z gumy nr 6, które też zresztą są nieco za duże, ale nie mam wyjścia, bo mniejszych nie ma. Teraz modłę się do Opatrzności o odrobinę szczęścia, obserwuję moją „kruszynkę” i układam w głowie kolejność wykonywanych czynności. Trzeba chłopca równo przeciąć. To zadanie nr 1. Mój krótki palec musi jeszcze utorować drogę pile, którą zaraz zahaczę pod rękoność mostka. Czasem nie dojdę tam, gdzie chcę, ale wtedy mogę poprosić kogoś z moich kolegów o pomoc. Oni mają większe dłonie. Dobrze, że zawsze mam ich w pobliżu. Już wiem, jak ciąć, żeby się nie zmęczyć i nie stracić na „dzień dobry” większości energii. Wkładam piłę powoli, a potem rozkręcam ją na „maks”. Gorzej będzie z wciśnięciem ramy. Facet w miarę młody, pewnie twardziel z niego, ale nie takim dałam przecież radę, to i jemu też muszą. Dobra, pierwszy etap mam za sobą. Jak już będzie nas komplet, kiedy dojdzie operator, to jak zwykle trochę

**Adres do korespondencji:** Izabela Szymanik, Szpital Wojewódzki nr 2, 36-301 Rzeszów, ul. Lwowska 60, tel. +48 17 866 48 25, faks +48 17 866 48 23, e-mail: kardiochirurgia@szpital2.rzeszow.pl

sobie pożartujemy. Na jeden temat. Ale za to magiczny, bo można go wałkować bez końca i bez ryzyka, że kiedyś się wyczerpie. Chwała Bogu, po raz kolejny dziękuję w duchu Aniołom Stróżom, że w chwilach przerwy w pracy nie muszę dyskutować o tym, co się ostatnio wydarzyło w telewizyjnych tasiecmach, omawiać diety „cud” z „Życia na Gorąco” albo „Naj” lub udowadniać, że lepiej smażyć chrust na smalcu niż na oleju.

Zabieg zakończył się pomyślnie i to jest najważniejsze. Następny też. Została jeszcze sterta papierów do uzupełnienia i można iść do domu. Wracam z pracy zwykle późno, czasami od razu przyjmuję pozycję „do góry kołami”, ale z reguły pozwalam sobie na odrobinę luksusu, co oznacza wannę pełną piany i w ramach relaksu dzwonię do dyżurnych, żeby nakarmić swoją duszę świadomością, że oni mają teraz gorzej niż ja...

Czasem ktoś pyta mnie, jaki zawód wykonuję. Odpowiadam i widzę niedowierzanie pomieszane z podziwem: „Jak ty sobie radzisz, przecież to taka ciężka i odpowiedzialna praca”. Zgadza się. Nie tylko psychicznie. Ale dla mnie również fizycznie. Mam 152 cm wzrostu i 48 kg wagi (jak wypasiony kogut). „Dlaczego to robisz? Czy nie można żyć prościej?” Nie wiem, dlaczego tak się potoczyło moje życie, ale na pewno wiem, dlaczego robię to, co robię. Bo lubię. Praca sprawia mi satysfakcję. Może fakt, że pochodzę z rodziny, w której dziadek był lekarzem, a mój ojciec i brat są chirurgami, ma jakieś znaczenie. A może to wszystko przypadek, w końcu dopiero po maturze zdecydowałam, że wybiorę medycynę, przecież moją pasją było malowanie, miałam zostać architektem wnętrz. No i w pewnym sensie zostałam...

W 2003 roku mój ojciec znalazł się z nienacką w klinice w Zabrze. Wszystko stało się nagle – ból w klatce piersiowej, kardiologia, potem kardiologia. Wymagał pomostowania naczyń wieńcowych. Pojechaliśmy z nim. I tak zaczęła się moja przygoda z kardiologią. Jak *by-passy* ojca – nagle i niespodziewanie pojawił się impuls, wewnętrzny imperatyw. Postanowiłam spróbować. Przyjechałam do Zabrze na staż. Mam przed oczyma moment, kiedy pierwszy raz w życiu dotknęłam ludzkiego serca. To było niesamowite wrażenie. Podziwiałam kardiologów, którzy operowali tak swobodnie, że mogliby robić to z zamkniętymi oczami. Potem zaczęło się szkolenie w Katowicach. Miałam szczę-

ście, bo na swojej drodze spotykałam życzliwych i dobrych ludzi, którzy bardzo mi pomagali. Ciężko pracowałam, musiałam udowodnić, że nie jestem mięczakiem, kruchą kobietą, były momenty, w których było mi trudno, były też chwile zwątpienia. Ale wiedziałam, że nie zrezygnuję ze swoich marzeń. Mam to po mamie. Ona nigdy się nie poddaje. Ma siłę walki i osiągnięcia wyznaczonego celu, którą czerpie z dobroci serca.

Wiedziałam, że kiedyś muszę o tym napisać. Napisać, przeczytać i jeszcze raz uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Że to już nie jest sen i marzenie, którego kiedyś nie mogłam dogonić, ale że się spełnia i staje rzeczywistością. I dobrze, bo inaczej nigdy nie byłabym sobą.

Często sięgam do mojej ulubionej książki „Stary człowiek i morze”. Niby niepozorna, a zawiera tak dużo życiowej prawdy. Ta piękna, dramatyczna historia starca i olbrzymiego rybaka z olbrzymim marlinem i rekinami jest przypomnieniem o zmaganiach człowieka z losem, o tym, że mimo wszelkich przeciwności winien on walczyć z godnością, odwagą i uporem. „Człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać” – to główna myśl dzieła Hemingwaya.

Nie wiem, jak będzie. Czy wytrzymam swoją próbę. Jak potoczy się dalej moje życie? Ale na pewno nigdy nie pożałuję czasu spędzonego na kardiologii. „Kiedy stary człowiek nie mógł już przemawiać do ryby, ponieważ była zbyt poharatana, coś mu przyszło do głowy: Połowo ryby! – powiedział. – Rybo, którą byłaś! Żałuję, że wyptynałem za daleko. To nas oboje wykończyło. Aleśmy razem ubili sporo rekinów, a uszkodzili wiele innych”. Ten ulubiony cytat chowam jednak w pamięci tak na wszelki wypadek.

Kocham swoją pracę. Lubię mój rzeszowski oddział i moich kolegów, choć czasami doskwiera mi oczywiście fakt, że jestem jedyną kobietą w tym męskim towarzystwie.

Wiele słów podziękowania i serdeczności kieruję do osób, które pomogły mi na początku mojej kardiologicznej drogi, dodawały odwagi i przede wszystkim uczyły tego trudnego zawodu. I cieszę się, że nadal mogę brać z nich przykład.

Chyba lubię życie na krawędzi. Ono wciąga. Ma swój urok. Ktoś, kto nie podjął nigdy ryzyka, nie zazna wprawdzie smaku rozczarowań, utraconych złudzeń, ale też nigdy się nie dowie, jaki smak ma satysfakcja i poczucie spełnienia. Ruszam więc dalej drogą moich marzeń. Stoczę kilka mniejszych potyczek, poniosę kilka porażek, ale mam nadzieję, że w końcu wygram ostateczną bitwę.